№ 5.

WARSZAWA

d. 22 stycznia (3 lutego)

1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Powinniśmy obierać drogę trosk i trudów, chociażbyśmy nie mieli stąd innej korzyści nad tę, iż pójdziemy nią za śladem Jezusa Chrystusa, Pana naszego. (Śta Teressa).

SZOPKA.

II.

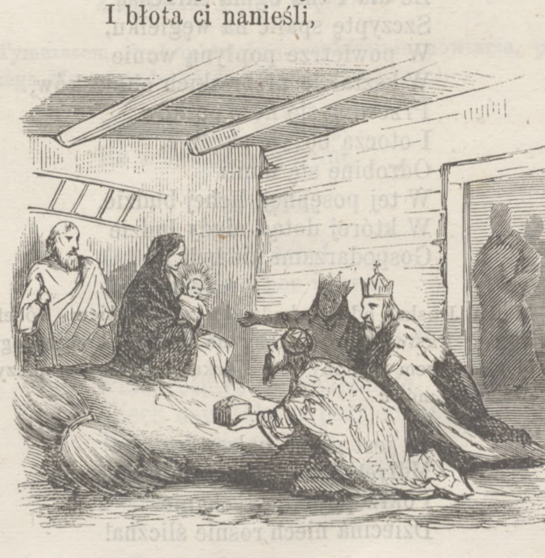
Zaledwie pastuszkowie skończyli kolędę, kiedy weszli trzej królowie: Kacper, Melchior i Baltazar. Kacper jest już siwym staruszkiem; dwaj pozostali pokazują się nieco młodszymi. Za królmi wcisnęła się młoda dziewczyna, łachmanami okryta i przyczaiła się w najciemniejszym kącie szopki. Królowie stawiają na ziemi szkatułę, zdejmują z głów korony, kładą je pod żłobkiem i upadłszy na kolana, śpiewają:

KOLĘDA.

Bogatego ojca synu,
Co mu z dłoni w przestwór płyną
Światy jako proch mnogie,
W takież ściany ubogie
Królewską drużynę
Przyjmujesz w gościnę?

I takżeto królu wieczny,
Co mogłeś na *drodze mlecznej* (*)
Świetny oprzeć tron sobie,
I także to we żłobie
Odbierasz pokłony,
Któreć niosą trony?

Nie wstydże cię przed królami,
Żeć zastali z pastuszkami,
Co cię synem zwą cieśli
I błota ci nanieśli,



(*) Droga mleczna jest to ten pas jasny, złożony jakoby z kropek świetnych, który w noc pogodną ukazuje się na niebie. Astronomowie utrzymują, że to jest niezmierna ilość gwiazd, które dla niesłychanej odległości nie dają się odróżniać jedna od drugiej.

Ze dworu na nogach,
I nie stoją w progach?

O! nie Ciebie wstyd zrumieni,
My przed tobą zawstydzeni:
Wielkość ziemską masz za nic...
Onej naszej bez granic
Umniejszyłeś pychy,
Korzy się proch lichy.

Po skończonej kolędzie król Kacper otwierając szkatułę, mówi:

Kiedy w Tobie królu nieba!
Człowieczeństwo dziś uznajem.
Człowieczym więc obyczajem
Ciebie uczcić nam potrzeba.
My na godne Ciebie datki
Nie możem się zdobyć Panie!
Przynajmniej na co nas stanie,
Składamy w ręce twej matki.

Tenże sam król wydobywszy złoto ze szkatuły, oddaje Matce Boskiej i mówi do niej:

Czystego złota bryłeczkę
Weź Maryo!.. drży na sianku
Ten, co dał w świata zaranku
Ogień słońcu... Poduszeczkę
Kup mu taką ciepłą, mięką,
Którąby się zdołał wszystek,
Jak w różanym pączku listek,
Pootulać wkolusieńko.

Słowa te domawiając, wydobywa ze szkatuły pudełko i mówi:

Kadzidło jest w tem pudełku,
Pastuszkowie się ucieszą,
Że dla Pana ognia skrzeszą;
Szczyptę spalić na węgielku,
W powietrze popłyną wonie
W kształcie niebieskich obłoczków,
Przewiną się koło oczków
I otoczą boskie skronie.
Odrobinę się umili
W tej posępnej, lichej budzie,
W której dotąd nigdy ludzie
Gospodarzami nie byli.

Matka Boska oddaje kadzidło z pudełkiem Józefowi świętemu. Pastuszkowie jakoby na wyścigi krzeszą ogień. Król tymczasem wydobywa ze szkatuły okrągłe naczynie drewniane i mówi:

Tu jest mirra balsamiczna:
Mdłych członeczków namaszczanie
Pokrzepi je niesłychanie.
Dziecina niech rośnie śliczna!

Kuba, któremu najpierwej udało się skrzesać ognia, rozdmuchał węgle w skorupce i podał Józefowi świętemu. Józef święty wsypał trochę kadzidła, okadził najprzód żłobek, potem zaczął chodzić z kadzidłem po szopce. Tymczasem Matka Boska wzięła ze żłobka Jezusa i kołysze go na rękach. Marta zbliżyła się do Matki Boskiej i zcicha rzekła:

Teraz matko jedyna!
Gdy na ręku masz syna,
Nie zapomnij też o mnie.

MARYA.

Posłuchajże przytomnie,
Jaką śpiewać kolędę
Jezusowi wnet będę.

Namaszczając Jezusa, Matka Boska śpiewa:

KOLĘDA.

Namaściłam cię główeczko!
A ci, którym z ciebie trzeba
Swiatła, jako głodnym chleba,
Są niedaleczko.

Namaściłam was jagody!
Przed bóstwem, co z was promieni,
Stary niech się zarumieni,
Zawstydzi *młody*.

Namaściłam cię powieko!
Nie przeszkadzajże źrenicy
Wejrzeć... niech się dwaj grzesznicy
We łzach rozścieką.

Namaściłam cię rączyno!
Nie ździebełko, nie potrochu,
Jeno wyrzuć łask jak prochu
Duszom, co giną.

Namaściłam cię jedyny
Synu!.. spuść też łask tysiące
I na serce bolejące
Z swej własnej winy.

Marta, która nakłaniała ucha podczas kolędy, wysłuchawszy jej, mówi sama do siebie, przyłożywszy jakoby w zamyśleniu rękę do czoła:

Mąż mój pewnie to będzie,
Ten *stary* w jej kolędzie,
Ten *młody* to me dziecię.
Lecz nie o nich są przecie
Te słowa: *łask tysiące*
Synu! spuść na cierpiące
Serce z własnej swej winy.
Do mnie tylko jedynej,
Możnaby je stosować.
Ha! trzeba się rachować...
Możem dłużna co Bogu?

We mnie tłumić też mogą
Głos własnego sumienia,
Nazbyt ciężkie strapienia.

Jakoby unikając widoku przytomnych pośród rozmyślania nad sobą, Marta ukryła się za kupką snopów słomy w kąciku. Tymczasem Matka Boska wciąż pieści się z Jezusem, całując mu rączki i nóżki. Prokop występuje z pośrodka pastuszków, zbliża się do Matki Boskiej, chcąc niby lepiej przypatrzyć się pieszczotom. Zasłania sobie oczy jakoby ze wstydu i mówi sam do siebie:

Co Marya też czuje,
Kiedy Boga piastuje?
Jam niewiastę miał za nic,
Okrucieństwem bez granic
Nękałem swę dozgonną
Towarzyszkę bezbronną;
Brzydziłem się jak szmatą,
Co się wala za chatą
Na śmiecisku... a oto
Wstydź się moja ślepoto!
Oto, jako niewiasta
Wywyższa się, podrasta,
Matką stawszy się Boga!

Ogląda się na wszystkie strony i mówi głosem pokazującym wzruszenie:

Gdzież ona jest nieboga?

Szuka żony pomiędzy pastuszkami, ale jej ukrytej dotąd za kupką snopów dostrzedz nie może. Staje ze spuszczoną głową, jakoby nie wiedząc, co ma robić. Tymczasem Walek zbliża się do Matki Boskiej wciąż pieszczącej się Jezusem i mówi sam do siebie, spuściwszy głowę ku ziemi:

Ach! pokora Jezusa
Jakże bardzo mię wzrusza!
Od chwili, gdy mu głowę
I jagody różowe
Namaszczała Marya,
Myśl mię jedna nie mija:
Ten, przed którym królowie
Koron swoich na głowie
Trzymać nawet nie śmieli,
Aż pod żłób je cisnęli,
Przed którym i pan duży
Zna się prochem... ten mruży
Z potulnością powieki,
Gdy Marya chce leki
Balsamiczne kłaść na nie,
Chętnie na jej żądanie
Rączki, nóżki podaje,
Na jej łonie się staje
Jakby martwą istotą...
A jam nigdy z ochotą
Nie posłuchał mej matki,
A jam życia ostatki
Okrutnie jej zatruwał,
I mogiłę przysuwał;
A jam rękę przeklętą
Na jej głowę wzniósł świętą!

Ogląda się na wszystkie strony i dalej mówi drżącym głosem sam do siebie:

O mój Boże! gdzież ona?
Taka dzisiaj strapiona!
Przytem chora... ach może!
Umarła gdzie na dworze...

Wychodzi z szopki. Tymczasem Józef święty przysuwa się do Matki Boskiej, pieszczącej się jeszcze z Jezusem i mówi łagodnie jakoby szepcąc:

Maryo! skończ pieszczoty,
Jedynaczek twój złoty
Może zasnąłby sobie;
Więc go połóż we żłobie.

MARYA.

Drogi mężu i panie!
Jak każesz, tak się stanie.

Nie dokończywszy jeszcze tych słów Matka Boska, powstała śpiesznie i zaniosła Jezusa do żłobku. Marta, która nadstawiała ucha na rozmowę Maryi z Józefem, mówi sama do siebie:

O mój Boże! toć ona,
Boga Matka rodzona
I niebieska królowa,
A wypełniać gotowa
Poddanego rozkazy,
Jako żona bez skazy...
We mnie ileż uporu!
Kiedyżem ja pokorą,
Co każdego zwycięża,
Łagodziła gniew męża?

Tymczasem Prokop swoje poszukiwanie powtarza, postrzega Martę, pada jej do nóg i woła:

Marto! daruj mi winę,
Bo u twoich nóg zginę.

MARTA.

O mój mężu jedyny!
I jam nie jest bez winy...

Upada Prokopowi do nóg i mówi dalej ze łkaniem:

Przeprośmyż się wzajemnie,
Niech nam tak już przyjemnie
Reszta życia upłynie...
Gdybyś jeszcze na synie
Pocieszył mnie mój Boże!

Wychyliwszy się zza snopów, Marta ugląda syna. Walek ukazuje się we wrotach szopki i mówi sam do siebie żałośnym głosem:

Nie widać jej na dworze...

Postrzega Martę i mówi też sam do siebie:

Ach! to ona! nie władnę
Sobą... do nóg jej padnę.

Podbiega śpiesznie do Marty, która jeszcze nie skończyła najtkliwszych przeprosin z mężem, upada jej do nóg i mówi:

Matko! matko jedyna!
Odzyskujesz dziś syna.
Czem jest matka na świecie,
Nauczył mię Bóg-Dziecię.
Trzeba winę nagrodzić...
Ale próżno zawodzić
Żale... ja choć przy grobie
Chcę osłodą być tobie.

MARTA.

O mój luby, mój drogi!
Choć przez ciernie i głogi
Prowadziłeś mię synu!
Za tę radość jedyną,
Że twą widzę poprawę,
Za źrenice twe łzawe,
Jakże nie mam przebaczyć?

WALEK.

Matko! naznacz pokutę
Za twe życie zatrute,
Bo ja piekła się boję...

MARTA.

Drogie dziecko ty moje!
Nie dopuszczajże sobie...
Nie widzisz go we żłobie?
To ten, który rozgrzesza,
Przy nim ta, co pociesza.
I jam też jest grzesznica;
Ale moja źrenica
Do tych dwojga się zwraca,
Gdy duch pokój utraca.

WALEK.

Grzeszna ani śmie dusza
Zbliżyć się do Jezusa,
Bo on Bóg jest, król chwały.
Alem jakoś jest śmiały
Do Maryi...

MARTA.

Więc do niej
Bieżmy, jak nas osłoni
Płaszczem swojej opieki,
Zbawieniśmy na wieki.

Matka, ojciec i syn rzucają się do nóg Matce Boskiej.

MARYA.

Pocieszcie się... toć juźci
Bóg wam wszystko odpuści;
Bo od liczby gwiazd w górze,
Kropeleczek mgły w chmurze,
Ziarnek piasku w dnie morza,
Wyższa dobroć jest boża!
Plamę ukrop wypije,
Winę ciepła łza zmyje;
Grzech przez szczere wyznanie,
Jako świeże pisanie
Łatwiusieńko się zetrze.
Pisz na wodzie lub wietrze,
Nie zostanie i znaku;
Bóg też pamięć ma taką,
Że jak ujrzy poprawę,
Zbrodnie straszne i krwawe
Zapomina do szczętu,
I ma duszę za świętą.
O! tak... wieczna zatrata
Tego tylko doścignie,
Kto bez skruchy ostygnie
W rozpaczliwem konaniu,
Na śmiertelnem posłaniu.
Złóżcież z serca te trwogi!
Jedynaczek mój drogi
Powolnym się wam stanie;
Bo choć jego władanie
Jest od ziemi do nieba,
Waszej łaski mu trzeba:
Miłosierdzia ułaknie.

MARTA.

Matko! czegóż mu braknie?
Pokarm z piersi twej pije,
Koszulkę mu uszyję
Z białej gdyby śnieg szmatki;
Przeniesiem go do chatki,
To się jeszcze zagrzeje
Wprzód, nim dobrze rozdnieje.

MARYA.

Ach! on prosi nie o to...
Wszak od królów ma złoto;
Może łatwo mieć za nie
Szmatki, ciepłe mieszkanie.
Ale jemu wyrządzi
Miłosierdzie, kto sądzi
Go nieprędkim do kary,
Miłosiernym bez miary.
Tem go tylko pocieszy
Człowiek nędzny, gdy zgrzeszy.

Na dowód więc, że dusza
Przyjaźnią dla Jezusa
Ufającą i błogą,
Więcej pała niż trwogą,
Poklęknijcie przed żłobem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jakie życie, taka śmierć.

—

— Januś, Januś! słyszysz jeno, a dyć dzwonią; zabierzno się, trza iść na nieszpory i Boga pochwalić, boć człek leży w chałupie, kiejby nieme stworzenie, lub nieporównywając, ciumak jaki.

— Dobrze, dobrze, moje złotko Kasiuchna, zaraz idę, jeno sukmanę nadzieję.

— Jaćbym to i rada bieżeć, ale się sromam, żeby tutaj Stasiek nie beczał.

— A dyć się o niego nie bój, on tu nie zginie; teraz śpi, a jak zapłacze, toć go Magda zakołysze. Toć i długo nie będziemy siedzieć.

I poszli nasi gospodarstwo do kościoła, a gdy się nieszpory skończyły i wyszli, rzekł Janek do żony:

— Idź Kaśka do domu do dzieciaka, bośwa się umówili z Bartkiem, żeby pójść w pole; trza zobaczyć, czy już nasze perki duże i czy je trzeba oborywać.

— Idź, a wracaj prędko.

— Wrócę, wrócę niedługo. Zostaj z Bogiem.

—

— A przecież przyszedłeś, a siadajże. Usmerliłam ci trochę jajecznicy, może chcesz? jest tu i trocha mięsa z obiadu. Nałaziliście się do woli; jest i krzyna wódki, napij się.

— Bóg zapłać, a dy wiesz, że nie cierpię tego śmierdziuszyska.

— A jest ci tam jeszcze butelczyna piwka, to stoczę i przyniosę.

— Nie trzeba, nie trzeba, niech się to na drugi raz schowa, i tak dziś człek nic nie robił, a dość użytkował; toć może i grzech.

— O! straszne rzeczy. A dyć cały tydzień pracujesz jak wół, toć aby w niedzielę uczciwie podjeść możesz; bo i na cóż Pan Bóg daje?

— Dajeć dobry Bóg moja rybko, ale nie na to, aby człowiek tylko myślał o swoim kazubie, lub pokryciu grzesznego cielska. Dajeć Bóg, prawda, ale z każdego zdziebełka zażąda kiedyś rachunku.

— Jać tam tak wiela rachować nie potrafię. A nasze perki czy duże?

— O! i jak moja kochana i jak. Ażebyś ty ty wiedziała, jak to w polu wszystko ślicznie idzie w górę, to aż się w człeku serce raduje. To też kiedyśmy weszli i spojrzeli na owe żyto, co już kłosów dostaje, pszenice jak pierzyny, a zielone i równe, łąki tak wdzięcznie obstrojone różnemi, różnistemi kwiatami, tośmy z radości jakiejś i słowa przemówić nie mogli. Dopiero stary Antoni, co także z nami poszli, podnieśli ręce w górę i zawołali: O Jezu mój, Jezusieńku kochany, jakże Ty ślicznie twój świat odziałeś, jak na nim o każdym baczyłeś robaczku! Wszystko Cię też tu chwali: chwali Cię owieczka bekiem, ptaszek śpiewem, muszka brzęczeniem, żabka skrzekiem; sam tylko człowiek bluźni często i depcze niewdzięcznie twe dary. Wybacz nam Ojcze miłosierdzia, pociesz zwiątpiałych, połącz nas Panie wszystkich w wierze, nadziei i miłości, a mnie zgrzybiałemu starcowi dozwól tego doczekać.

— O ten Antoni, to strasznie mądry, gdyby nie chłop. A ja widzisz w mojej babskiej głowie, oto myślę sobie tak: Ksiądz niech księgi czyta, pisze i kazania prawi; pan niech używa świata; chłop niech orze, sieje, kosi, wódkę piję; kobieta niech w domu rządzi; dziad pacierze mówi i pieśni śpiewa. Wszyscy póki młodzi, niech się bawią i tańcują, a starzy siedzą i gadają baje, i kwita. A kto w cudze nos wtyka, to ma za długi i trzeba mu go przyciąć.

— Jaka głowa, taki rozum. Dawno już starzy gadają i mają prawdę, że u kobiety długi włos, a krótki rozum.

— To mi mądry! Nie dajno sobie kudłów obcinać, a obaczysz, czy i tobie długie nie urosną. A wiesz też ty, czemu chłopy głowy strzygą?

— Bo im tak lepiej, bo nie mają czasu trefić się długo, jak niejedna z was.

— Baj sobie zdrów, ja ci powiem czemu. Chłopy łby strzygą, bo się kobiet boją, żeby ich za włosy nie darły, lub żeby sobie sami w karczmie nie poobrywali.

— To mi mądralka, ona wszystko wie, a wszystko naopak. Bo i czemuż uczciwy chłopek prócz pługa i kosy nie ma znać i czarnego na białem. A nie miło to posłuchać, jak

drudzy w niedzielę książkę gładko przejdą, i człowiek się tam niejednego nauczy, a choć nie nauczy, to jakoś miło tak pięknych posłuchać rzeczy.

— Oj! słuchaj, słuchaj, od tego słuchania aż ci uszy urosły. Jać nie słucham, a sprobójmy, kto mądrzejszy?

— Nie zazdroszczę twojej mądrości i powiadam, że jeżeli mi Bóg pozwoli Stacha wychować, to go każę uczyć jak należy.

— Tak, każ go wyuczyć, jak rodzice Karola; a potem spanoszał i wstydził się matki, co go na świat wydała, nie znał jej nawet.

— Jakaś ty Kaśka niemądra, to trudno dać wiary. Tobie się zaraz widzi, iż Karol dlatego złotrzał, że się czegoś nauczył; a ja ci powiadam, że nie nauka go zgubiła, lecz złe i przewrotne sumienie, że jeżeli on dziś z nauką zaparł się matki, to ciemny prostak, byłby ją sponiewierał, lub broń Boże co gorszego zrobił.

— Dobrze, dobrze, chowaj Stacha na pana, a kto będzie pasł cielaki?

— Ale ja go wcale na pana nie myślę kierować; ja nie chcę, aby między oficyalistami kąty wycierał, bo ja wiem, że Bóg nakazał człowiekowi pracować na chleb w pocie czoła. Ja czuję, że człowiek najszczęśliwszy w tym stanie, w którym się urodził. Jać to dobrze rozumiem i mój syn toć wiedzieć będzie. Lecz radbym, żeby on umiał Boga z książki pochwalić, i tak łatwo nie dał się żydom oszukiwać. Tylko boję się, żeby w nim skacząca żyłka nie zadrgała.

— Żebyć był jak mać, toby robił i skakał, a jak pójdzie za ojcem, to będzie gdérał i marudził, jak dziad jaki. Nie wiem, co lepsze?

— Baba swoje, a czort swoje. Dajmy temu pokój.

— Czy prawda Jasiu, na co te sprzeczki? to jeno obraza Boska. Ot wiesz co, lepiej pójdźmy na zgodę do karczmy, bo jakeś wspomniał o tańcu, to mi zaraz nogi drgają.

— A karaż Pana Boga, do karczmy jej się zachciewa. I zaraz na mnie zganka, jakbym ja ci karczmę przypomniał. Widzęć ja z początku, co się święci, że masz jakąś głupią chętkę, boś mi tak nadskakiwała. Nie taki ja głupi, jak myślisz, znam się na farbowanych lisach, i na twoich wykrętach.

— O tak! jakeś się ożenił, toś strasznie zmądrzał, aż nadto na moją biedę. Kiedym była dziewuchą, toś zemną i na trzecią wieś leciał, a teraz bzdurne kilkanaście staj, to ci ciężko, to ci się nie chce.

— Moja Kasiu, dziewucha, a żona to wcale co innego. Wolno dziewczynie poskakać w miarę i pobawić się uczciwie, bo ma głowę wolną, ale kobiecie to już insza. Żona i matka już ma ręce związane, już chałupy opuszczać i po karczmach latać nie powinna.

— O biednaż ja, żem za takiego nudnika poszła!.. toć to już w niewolę zaprzedaną jestem, że się mi i zabawić nie wolno.

— I cóż ci tam do tego karczmiska tak pilno?

— A dyć mi pilno, boć przyjdą tam kobiety, chciałam się o to i owo Frankowej poradzić.

— Ej, Frankowa stara tańcować z tobą nie będzie, do niej się nie kwap.

— A choćbym i tańcowała, alboż mi nie świat?

— I cóż ci tam z wytańcowanego świata przyjdzie? lepiejbyś w chałupie z dzieciakiem siedziała.

— A to pilnuj sam dzieciaka, odburkła na to. Ja pójdę, boć tam i matusia będą.

— Matusia jak matusia, ale stary tatuś lucyper bez zawodu przyjdzie i będzie ci przytupywał, jak będziesz latała, boć karczma a szynk to jego siedziba.

— Niech przyjdzie, niech przyjdzie; wolę tam, boć się z nim aby człek nahula, niż siedzieć z tobą grymaśniku!

— Kobieto upamiętaj się, co ty gadasz?.. strzeż się, żebyś w złą nie wymówiła godzinę, bo kto wie, czy złe nie stoi za tobą i do ucha ci nie szepce. Przeżegnaj się, żeby odleciało.

— To widzisz od diabła można się odżegnać i pozbyć go się; ale od chłopa niedołęgi, ślamazarnika ani krzyżem, ani kijem się nie opędzi.

— Niech i tak będzie moja Kaśka, ale jak mnie nie stanie, zobaczysz, jak ci będzie.

— Co ma być? Jak palcem kiwnę, czterech takich przyleci.

*
* *

— A witajże miły kumotrze! chyba się mi na starość co urodzi, żeście do naszej choć raz zawitali chaty.

— Bóg wielki zapłać Antoni! za wasze dobre słowo. Ale z przybyciem wesołego człeka radość się rodzi w chacie; smutny zaś przybysz chyba płacz w dom przynieść może, a od tego uchroń was Boże.

— Oj! widzęć ja widzę, miły Janku, że ci coś na sercu dolega. Ludzie gadają, ale trudno ludziom wierzyć można, boć u nich i kłamstwa nie kupić; chciałem się ciebie zapytać, alem czekał, żebyś sam przyszedł i jak przed ojcem serce mi otworzył. Człek już stary, bardzo stary, nie z jednego już pieca chleb jadłem, i nie chwaląc się, niejednemum dobrze poradził. Może i dla ciebie znajdzie się rada. Boć widzisz, nie powinien nigdy człowiek zbytecznem wymaganiem obrażać Boga. Jeżeli cię co dolega, módl się i pamiętaj, że w każdym stanie są dolegliwości, że nie ma kącika, gdzieby nie było krzyżyka. Bez krzyża bratku nie ma nieba, nie ma zbawienia. Ty naprzykład miły Janku, dostałeś po ojcu porządne gospodarstwo; ożeniłeś się może nie podług mej myśli, ale podług twego serdecznego upodobania. Dał ci Bóg zdrową dziatwę; twoje zboża zawsze najlepsze; na twojem bydełku kropla wody nie ustoi, widać nad tobą opatrzną rękę, co ci pomaga i błogosławi. A ty się trapisz, coraz a coraz bardziej. Wstydź się mój Janku Alem się zbytecznie rozgadał, wybacz staremu i swoje mów, co cię boli?

— Prawdą świętą rzekliście miły Antoni, mnie boli w sercu i bardzo boli. Nie lubię się przed ludźmi wywnętrzać, boć dziesiąty niby człeka pożałuje, a dziewięciu się rośmieje. Ale przed wami Antoni, kiedy moją dolegliwość wypowiem, to jakby na spowiedzi; lżej mi będzie na sercu, boć już rady to dla mnie nie ma na ziemi, chyba cud Pana Boga, a tego jam grzeszny nie godzien. Pamiętacie, dziesięć lat minęło, gdym się ożenił z moją Kaśką, wyście ją lepiej poznali, boście mi perswadowali, abym tego nie robił. Ale gdzie tam człek ma rozum, kiedy go kobieta uroczy? Jam na nic nie zważał, bom ją ukochał. A choć ona będąc dziewką, przepadała za karczmą, choć do trzeciej wsi na tańce latała, jam sobie myślał: młoda, głupia dziewucha, jak pójdzie za chłopa, to się upamięta i poprawi. Ale gdzie tam, gdzie tam! mój Antoni. Nie darmo ludzie mówią: Czego się skorupka zamłodu napije, tem na starość trąci. Takoż i moja Kaśka, coraz to gorsza. Z początku latała tylko do karczmy, jam prosił, perswadował, ona nie chciała słuchać. Kłóciła się, płakała, jam ustępował. Później już co jarmark, targ, ba nawet i święto, idzie moja kobieta do miasta, zamówi się o funcik masła, coby się bardzo w domu przydało, a czasem o kilka jaj; zabierze co może grosza i dalej na handel. Nie pyta wcale, choć dziecko od piersi zostaje w chałupie przy dziewce, i płacze chudziątko. A tu nie ma co kto zrobić w domu: chleb z dzieży kipi, dzieci krzyczą, trzeba jeść warzyć, dziewka aż w głowę zachodzi, rady sobie dać nie może. Ja muszę iść w pole, boć robota na robotę idzie. Przychodzę do domu na południe: Kaśki nie ma i obiadu nie ma; cóż robić? Wezmę kawałek suchego chleba i idę znów w pole. Wracam na wieczór; przyszłać przecie, z podwórka słyszę, jak krzyczy, lub wyśpiewuje. Aż człeku wstyd i na ludzi patrzeć. Wy każecie mi się cieszyć dziatwą, a ja muszę patrzeć, jak ta poganka podpita, rozżalszy się, katuje mizerne dzieciska. Mamże się radować w zbożu i dobytku, kiedy mi już i świat i życie obmierzło? Mało siedzę w domu; kiedy nie pracuję w polu, to idę w krzaki i tam poleżę, aby wytchnąć z mego ciężkiego utrapienia; do domu się nie śpieszę, boć chyba na zwady lub pijatykę, a ja tego znieść nie mogę. Takie jest moje życie od lat kilku, i codzień to gorzej. Radźcie teraz Antoni, boć macie rozum, a ja głupieję, i wszystko zda się mi, iż mi niedługo piasku na oczy nasypieciecie.

— Późno już miły Janku po radę przychodzisz. Kiedy choroba śmiertelna, żaden doktór nie pomoże. Gdybyś wcześnie nie popuścił bywodzy złej kobiecie, byłbyś ją, samego siebie i dzieciska uratował; możeby ona sama dziś w duszy za to ci dziękowała. Ale teraz nierychło, już ona nad tobą, a nad nią zły nałóg wziął górę. Lecz i teraz Janku, miej rozum, trzymaj grosz w ręku, bo ona wszystko zmarnuje. Bacz, ile możesz na dzieciska, aby ich poganka nie térała. Skoro trochę podrosną, wysyłaj do szkoły, niech się złego w domu nie uczą, niech ile można, nie wiedzą, jaką matkę mają, aby jej kiedyś nie poniewierały.

* * *

— Oj kobiety, kobiety! wyście się tutaj zbiegły, kieby kawki; hasajcie, hasajcie! a będzie z wami tak jak z Jankową, coć ją do wójta na sprawę bez duszy przywieźli. Jeżeli nie wierzycie, to idźcie zobaczyć.

— Jezu Marya! powiedźcie mi jeno Stefanie, co to się stało, bo kiedyśmy się ztąd wyprowadzali dziesięć lat temu, to Jankowa w najle-

psze w karczmie wywijała i kupowała chłopakom wódkę, aby z nią tańcowali. Ba i sama łepsko popijała.

— Zaraz, zaraz kumoszko wam powiem, jeno gardło przepłóczę piwkiem, bo mi jakoś siarczysto w niem zaschło. Nieboszczyk Janek był dobry chłop nie ma co mówić; już on na Boskim sądzie, lecz co prawda to prawda: żeby był inaczej poczynał, byłby lepiej zrobił. Sam pracował, nie dospał, ba i nie dojadł często, a kobiecie na wszystko, na wszystko pozwalał. I dał miecz w ręke szalonej, bo jak ona sobie pozwoliła, toć i jemu było ciepło. Latała po karczmach, targach, jarmarkach, szynkach, częstowała wódeczką i sama piła, a niech on aby słówko pisnął, to już o uszach nie gadaj, bo się i plecom dostało. Już to moje kobiety, kiedyście dobre, to dobre, ale jak się która rozpuści, wnet przejdzie samego czarta.

Janek cierpiał, lecz milczał, boć go i wstyd było żalić się na babę przed chłopami; ale chodził jak nie swój, gryzł się, sechł, aż zaniemógłszy jakoś, parę dni tylko leżał i oddał ducha Bogu. Pogrzebaliśmy go uczciwie, boć choć ona grosz pozostały zacapiła, pozostało porządne gospodarstwo. Dzieci jak sobie życzył, rozebrali sąsiedzi: starszego wziął Walenty, dwóch zaś młodszych stary Antoni; najmłodsza dziewczynka pozostała przy matce, ale niedługo umarła. Gospodarstwo jakem powiedział, znaczne zostało, lecz Jankowa tak jakoś ślicznie zakręcić potrafiła, iż sama wszystko zagarnęła, a dzieciskom ledwo na sukmaniny zostało. Zabrawszy więc grosz, wyniosła się do miasta i zaczęła handel. Kupiła sobie mąki i kaszy, a strojąc się coraz inaczej w czepce ze wstęgami, (boć sobie za życia nieboszczyka ciągle stroje kupowała), zawiesiwszy całą szyję koralami i paciorkami, zaczęła niby sprzedawać, w samej zaś rzeczy chciała się ludziom w oczy wrazić.

Widzieliśma ją wszyscy, aleśmy od niej odwracali oczy, jakby od złego, bośmy wiedzieli dobrze, jakie ziółko była. Ale że sprzedawała wedle ratusza, a tam siedział jakiś niby porządny człowiek, co go od granicy przytransportowali; otóż on choć za kratką, bacznie przyjrzał się Jankowej, a jak go potem wypuścili, dalejże do niej w konkury! Onej się także spodobał, boć był chłop pokaźny, a najbardziej zaś z tego, żeć miał, jak powiadał, grunt i dobytek w Prusiech. On myślał takoż, że wdowa ma grosze, boć zawsze strojna, kieby na wesele. Jakoż niedługo czekając pobrali się, i trafił swój na swego; bo on był łotr i hulak, ona pijaczka i hultajka. Praca krwawa Janka wyszła niebawem na bankiety: ona chciała pić i hulać, on takoż, a żadne pracować nie chciało. I zaradzili sobie niedługo: zwąchał się Szliman (tak się zwał mąż Jankowej) z drugimi sobie podobnymi i zaczęli kraść w okolicy, a zdobyczą się dzielić. W zeszłą środę okradli kościół w Niedarzynie i tutaj także poznosili zrabowane sprzęty. Radzi bardzo z diabelskiej sprawki, przyrządzili sutą wieczerzę, jedli i pili bez miary. Upiwszy się, zaczęli się kłócić i bić. Szlimanowa broniła męża, kiedy jeden łotr ze złości, że go nie mógł dosięgnąć, cisnął nożem i tak ją dobrze dojechał, iż nóż utkwił głęboko, a ona padła na ziemię. Złoczyńcy uc ekli; ona krzyczała, wołała ratunku, lecz za nim ludzie usłyszeli i nadbiegli, już jeno chwilkę żyła i słowa nie mogąc przemówić, skonała. Jak żyła, tak umarła, bez Boga i spowiedzi. Zrobił się harmider, nadeszła policya, zabrała rzeczy skradzione, schwytano kilku i wszystko się wydało; a dziś do naszego wójta przywieźli trupa Szlimanowej!

Zdania.

Przy kim Bóg, przy tym szczęście nieomylne stawa.

— Jak róże są odmienne, słabe jednodzienne, jako niepohamowana rzeka do morza ucieka; tak prędko wiek nasz upływa, tak codzień żywota ubywa, że ani godziny wiemy, kiedy się w proch rozsypiemy. *(Zimorowicz).*

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15.
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 23 stycz. (3 lutego) 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.